

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Kardynał Mercier

Niepospolitą postacią, nakazującą szacunek, cześć, uwielbienie wszystkim swym rodakom, był kardynał Mercier, skoro monografię o nim o dostojniku rzymskiego Kościoła i wskrzesicielu tomistycznej filozofii, napisał protestant Jan A. Gade. I to napisał w obcym języku, po angielsku, ażeby z życiem kardynała zaznajomić szerokie koła narodu, który słyszał o nim to i owo podczas wojny światowej — niepodobna było nie słyszeć. — ale miał czas wszystkiego zapomnieć.

Mercier był piątym dzieckiem ubogiej rodziny wiejskiej i wczesnie stracił ojca. Na szczęście proboszcz zwrócił uwagę na zdolnego chłopca i wyśtarł się, o fundusze na jego utrzymanie w szkołach. Już w kilka lat po wyświęceniu się młodzieńca zorientowano się, że zdolności przeznacza go do wielkich rzeczy. Leon XIII powierzył tedy trzydziestoletniemu wówczas księdzu Mercier prowadzenie studjów tomistycznych w Louvain.

Mając za zadanie uprzystępnienie i rozwinąć dzieła największego teologa średniowiecza, Mercier nie łączył się bynajmniej średniowiecznych metod. Nie zamknął się w czterech ścianach pracowni naukowej, aby pochłaniać niezliczone księgi i z nich wysnuwać teorie filozoficzne. Wyczuł, że trzeba zrobić coś zupełnie przeciwnego, mianowicie zapoznać się z ostatnimi wynikami nauk ścisłych. Wiedział, że materializm można zwalczyć jedynie przez gruntowną znajomość tego, co on za swą broń uważa.

I oto w momencie największego nasilenia walki przeciw Kościołowi Katolickemu we Francji młody ksiądz belgijski w stroju świeckim uczęszcza na medycynę w Paryżu i praktykuje na klinice sławnego profesora Charcot. Rzecz wydaje się dziwna — i policja weszła w nim niebezpiecznego wroga trzeciej Rzeczypospolitej.

Rozpoczęte studia prowadzi ks. Mercier dalej w Louvain, gdzie już sam wykłada, słuchając równocześnie neurologii, chemii, biologii oraz matematyki i uczęszczając do laboratoriów. Niestrudzenie pracowity, pisze równocześnie do Revue Neo-Scholastique i pracuje nad większymi dziełami. Tekst jego „Ontologii“ powstaje prze-ważnie w pociągach podczas podróży. Rękopisy jego zachowały się na kopertach, na marginesach gazet, na zaproszeniach, na afiszach, na okólnikach — jako świadectwo, że ks. Mercier nie tracił ani chwili czasu, a do pracy umysłowej nie potrzebował szczególnie dogodnych warunków.

Zamianowany w r. 1906 arcybiskupem Malines, okazuje się on odrazu pierwszorzędnym administratorem, umie też sobie dawać radę w trudnych warunkach politycznych. A warunki te przynosi z sobą wybuch wielkiej wojny, okupacja niemiecka i czterolletnie rządy najeźdźców. Mercier, będący

już kardynałem, pozostaje na swej placówce — dobry pasterz daje głowę za swe owieczki. I w pewnych momentach zdaje się naprawdę, że nałoży głowę. Wytyka Niemcom ich barbarzyństwo, stał w obronie ofiar, wypowiada protest za protestem. Jego korespondencja z gubernatorem von Bussingiem jest w swoim rodzaju unikatem. Kardynałowi udało się ściągnąć służbę, przekonanego o swej wysokiej godności, a pozbawionego poczucia humoru, na teren dyskusji etycznej. Po jednej stronie feldwebel w jeneralskim mundurze, po drugiej najsubtelniejszy może dialektyk naszych czasów! Skutek był łatwy do przewidzenia. Na okupantów spadła prócz plamy barbarzyństwa — śmieszność, a to poważnie zaszkodziło ich sprawie.

To też gazety niemieckie dawały nieraz wyraz swemu złemu humorowi: „Listy Mercier'a są pompatycznymi mowami politycznymi, a niektóre z nich robią wrażenie, że pisał je d'Annunzio. Dygнитарz duchowny za-nadto kochał się w swej retoryce i w reklamie. Wyszedł poza zakres swego urzędu“.

O wiele sprawiedliwiej, ale i z większym zrozumieniem traktował kardyna-

ła von der Lancken, którejmu przy-padła niemiła rola odwiedzać go w charakterze wysłańca gubernatora. Oto jego słowa z artykułu umieszczonego w „Berliner Tageblatt“ po zgonie kardynała:

Niewątpliwie nikt nie walczył z Niemcami ostrzejszą bronią, niż Mercier. Lecz nie było u niego nienawiści do Niemców. Nie mówiąc o jego obowiązkach religijnych, które bardzo leżały mu na sercu, był za-nadto inteligentnym aby nienawidzić i nie byłby stał się dla nas tak niebezpiecznym, gdyby podniósł jego patriotyzmu była nienawiść. Walczył z nami z niezłomną mocą i z bezlitosną logicznością.

Po zawarciu pokoju postać kardynała otoczył nimb dzielnego patrioty i śmiałego polityka. Nie spoczął on jednak na laurach, żywo zajmując się gojeniem ran wojny, propagandą religijną i wywierając poważny wpływ na wychowanie dzieci królewskich. Z królem Albertem pozostawał w bliskich stosunkach i po zgonie monarchy warto może powtórzyć słowa, stanowiące jego charakterystykę, a wypowiedziane zapewne przez najkompetentniejszą osobistość:

Albert pierwszy był człowiekiem obowiązku. Jest tem, co mają na myśli ludzie prawi, gdy mówią: Oto uczciwy człowiek. — Jakkolwiek wielkim król Albert może być jako żołnierz i jako głowa państwa, to nie swą wielkością podbił serca

swych poddanych, lecz raczej tem wszystkim, co wszyscy mają wspólnego, prostotą prawością i dobrocią bez afektacji.

Monografia Gade'a odznacza się obfitością szczegółów i dokładnością. Powstała na podstawie gruntownych badań i przy pomocy krewnych oraz przyjaciół kardynała. Zawiera doskonałe fotografie. Tekst uzupełnia do-datek, w którym przedrukowano dużo źródeł. Między innymi znajdujemy tu, jak komiczne intermezzo w tragedji, listy służącego kardynała, pisane z Ameryki. Czytamy tu:

W Ameryce jest więcej samochodów niż ludności w Belgji, kierują nimi także kobiety i to ze straszną szybkością, ale nie sobie z tego nie robią, jakby gonity za obręczami. Te dziwne kobiety tak do-brze jeżdżą autami, jak najwprawniejszy chłop belgijski powozi u nas koźmi. Robotnicy zarabiają ćmiemiara. Jestem pewny, że mogliby wszyscy gdyby żyli skromnie i oszczędzali, wycofać się z zajęcia i pokupować sobie małe wiejskie posiadłości lub dające dobry dochód gospody. Każdy tu jest bogaczem, ale Eminencja napomniał mnie żebym tyle nie myślał o pieniądzach, a zato częściej odmawiał modlitwy. Nawet gdy to czynię, myślę wciąż, co bym robił gdybym zarabiał dziennie 10 dolarów czyli 350 franków...

„Jesteśmy w Kolumbji, a gazety wydrukowały w ciągu półtrzęcej godziny wszystko, cośmy mówili — słowo w słowo. Co wy na to?“

Lokaj zakochał się ostatecznie w dziewczynie, służącej u kardynała Mundeleina, ożenił się z nią i przy-wiózł ją z sobą do Belgji.

Jan Szarzyński.

Castel Sant Angelo

Na prawym brzegu Tybru, u wylotu starożytnego mostu S. Angelo, roz-piera się majestatyczna budowla, tak dobrze znana z tysiącznych fotografii i widokówek, a stanowiąca jeden z najbardziej charakterystycznych elementów panoramy Wiecznego Miasta: wspaniała zamek Św. Anioła (Castel Sant' Angelo).

Fundamenty pod budowlę tę położył imperator Publius Aelius Hadrianus — przed ośmiastu wiekami, przeznaczając ją na mauzoleum dla siebie i swej żony Sabiny, oraz dla swych następców. Budowę dokończył jednak dopiero jego następca i syn adoptowany, Antonius Pius, w roku 139. Mauzoleum to, wysokości 50 mtr., służyło do celów, zamierzonych pierwotnie przez Hadrijana, zaledwie przez krótki przeciąg czasu — do panowania Septimusa Severa (r. 211). Miało ono ważniejszą rolę do spełnienia, dzięki swej masywnej, potężnej konstrukcji i swemu położeniu nad brzegiem rzeki.

Toteż już w r. 271 Aurelijan zamienia je we fortece obronną — i ten swój charakter zatrzymuje ono przez długie wieki: z niej to odpierali w roku 537 obrońcy Rzymu ataki oblegających ich Gotów.

Nazwę Castel Sant' Angelo spotykamy w kronikach XIV wieku, a wiąże się ona z piękną legendą. Mianowicie w roku 590 szalała w Rzymie straszliwa zaraza, dziesiątkująca ludność, która w gorących modłach błagała Boga o odwrócenie tej klęski. Przez miasto przeciągały liczne procesje; na czele jednej z tych procesyj szedł Papież Grzegorz Wielki. A wówczas na szczycie mauzoleum Hadrijana pojawił się św. Michał, chowający szpadę do

pochwy, na znak, że Pan Bóg dał się przebłagać. Zaraza wygasła... — Na pamiątkę tego cudu papież Bonifacy IV-ty wybudował później na szczycie mauzoleum kapliczkę: „S. Angelus inter Nubes“.

Od roku 1752 zaś widnieje na szczycie brązowy posąg św. Michała, dzieło flamandzkiego rzeźbkarza, Verschaffeld.

Zamek św. Anioła przechodzi we władanie papieży, którzy go restaurują, rozszerzają i upiększają. Największe zasługi na tem polu położył papież Bonifacy IX, który restaurację całej budowli powierzył znanemu mistrzowi, Nicolo d'Arezzo; następnie kolejno Mikolaj V, Aleksander VI, Juljusz II, Leon X, Klemens VII i Paweł III przeprowadzają w zamku cały szereg zmian, dodatków i dobudówek, między innymi kryta galerję, łączącą zamek z Watykanem.

Ostatnie znaczniejsze prace konserwatorskie przeprowadził papież Urban VIII (1624—1641); równocześnie zamek się fortyfikuje, buduje się koszary, arsenał, młyny i magazyny.

Dalsze transformacje przechodzi zamek dopiero w XIX wieku: począwszy od roku 1860, w związku z rozbudową Rzymu i przyrostem ludności burzy się stopniowo poszczególne bastiony i mury, — a na ich miejscu wyrastają nowe budowle, magazyny, baraki, domy czynszowe, zamieszkałe przeważnie przez największą biedotę. Wspaniała budowla — w tem pospolitem, nieestetycznym sąsiedztwie, straciła dużo ze swej wielkości i uroku, niemal zupełnie zasłonięta i trudno dostępna dla zwiedzających.

Podjęte jeszcze w roku 1901 przez

pulk Marjana Borgatti prace restauracyjne zmierzały równocześnie do usunięcia z otoczenia zamku tych wszystkich licznych, szpecących go przybudówek i do odsłonięcia wolnego dostępu i widoku ze wszystkich stron. Prace te, prowadzone przez zgórą 30 lat, obecnie dobiegły końca. Odsłonięto w całości mury i bastjony, napół przywalone ziemia, założono dokoła piękny, duży park, rozebrano wszystkie późniejsze budowle, nie przedstawiające wartości historycznej, — jednym słowem przywrócono Zamkowi św. Anioła taki sam mniej więcej wygląd, jaki miał z początkiem XVIII wieku.

Niewątpliwie też ściągać będzie Zamek św. Anioła obecnie jeszcze liczniejsze tłumy turystów, żadnych obojętności tego wspaniałego zabytku, który odegrał tak doniosłą rolę w historii Rzymu na przestrzeni ośmiastu wieków.

A ileż łączy się bolesnych i tragicznych wspomnień z tą budowlą! Iluż najwybitniejszych ludzi — bohaterów, artystów, poetów siedziało w tych strasznych celach więziennych: Beatrix Cenci i Benvenuto Cellini, Cezar Borgia i Giordano Bruno — a nawet słynny awanturnik Cagliostro.

Toteż każdy zwiedzający zamek uważa sobie za obowiązek obejrzeć cele, w której rzekomo zamknięty był Benvenuto Cellini i drogę, którą udało mu się zbiec. A od czasu, gdy na scenach europejskich pojawiła się „Tosca“, Zamek św. Anioła zyskał jeszcze jedną nową atrakcję: przewodnicy obowiązkowo pokazują każdemu turyście cele, w której siedział Cavaradossi oraz miejsce jego egzekucji...

„A w a n t u r y a r a b s k i e”

W ostatnich tygodniach uwaga świata politycznego skierowana jest znowu na Wschód. — tym razem jednak na Wschód nieco bliższy, na Arabję.

Zwłaszcza Anglja, Francja i Włochy, śledzą z dużym zainteresowaniem wypadki rozgrywające się na półwyspie arabskim, — których następstwa odbić się mogą silnym echem na sąsiednich ziemiach Azji i Afryki.

Król Ibn Saud rozpoczął wojnę z władcą Yemenu... A więc — wojna domowa? Bo przecież po jednej i po drugiej stronie walczą Arabowie. Takby się wydawać mogło; w rzeczywistości jednak jest inaczej.

Półwysep Arabski, — to niemal cały kontynent, cały świat, zamknięty w sobie, gdzie już w zamierzchłej starożytności istniały potężne państwa, a gdzie i obecnie istnieje cały szereg państw i państewek, nie tylko obcych sobie, ale wręcz wrogich. A miejsca mają dosyć: toż półwysep arabski (licząc na północ od Iraku) zajmuje przestrzeń niemal tak wielką, jak Anglja, Francja, Włochy, Niemcy, Polska i Czechosłowacja razem wzięte!

Do czasów wielkiej wojny cała Arabja podlegała nominalnie władzy tureckiej. Suwerenność ta ograniczała się jednak właściwie tylko do pobrzeży Morza Czerwonego, — w głębi kraju wybuchały ustawicznie buntury szczepów arabskich, fanatycznie przywiązanych do zupełnej swobody i niepodległości, gotowych zawsze bronić swej wolności przed zamachami zarówno ze strony swych współplemieńców i współwyznawców, jak i ze strony obcych najeźdźców.

Po wojnie sytuacja się zmieniła: słynny pułkownik Lawrence — przy poparciu „Foreign Office” tworzy nowe królestwo Hedżasu, a na tronie zasiada Hussein, skromny szeryf z Mekki. Marzyło mu się wskrzeszenie tronu Kairów, zjednoczenie pod swem berłem wszystkich Arabów. Ale plany te napotykały na silny, zdecydowany opór właśnie ze strony innych, słabszych państewek arabskich: Nedźd, Asir, Yemen, — tak że ostatecznie królestwo Hedżasu obejmowało tylko wąski stosunkowo pas ziemi, północną połowę wybrzeży Morza Czerwonego. Ale król Hussein miał w swem ręku dwa święte miasta: Mekkę i Medynę.

Bolało to prawowitych wyznawców Proroka, którzy uważali Husseina niemal za zdrajcę ojczyzny i wiary, wchodzącego w konszachty z cudzoziemcami. Zwłaszcza niechętnym okiem patrzył na to Ibn Saud, naówczas emir Nedźedu. W roku 1924 na czele swych fanatycznych wojowników ze szczepu Wahabitów wyruszył przeciw Husseinowi; po krwawych walkach wkroczył zwycięsko do Mekki i Medyny, odbierając oba te święte miasta z rąk niegodnego władcy, który odważył się oddać pod protektorat obcego — i do tego chrześcijańskiego mocarstwa.

Królestwo Hedżasu przestało właściwie istnieć; weszło ono w skład sultanatu Nedźd, a Ibn Saud przyjmuje tytuł Króla Hedżasu.

Obecnie królestwo Nedźd jest największym i najpotężniejszym państwem na półwyspie arabskim: obejmuje ono, oprócz właściwego Nedźd (1.200.000 km. kwadrat.), królestwo Hedżas (470.000 km. kw.) i emiraty Asir i El Hasa, podległe jego władzy.

Coprządka, cała jego ludność liczy

niewiele ponad 2 miliony głów, — przeważnie koczownicze a wojownicze plemiona Wahabitów, marzących o zjednoczeniu całej Arabji pod berłem Ibn Sauda.

Jak jednak zaznaczyliśmy poprzednio, wszystkie te szczepy i plemiona milują wolność nadewszystko, toteż wcale nie uśmiecha się im los, jaki spotkał czyto królestwo Hedżasu, czy Asir lub El Hasa.

Najpotężniejszym przeciwnikiem Ibn Sauda był zawsze władca (iman) Yemenu. Państwo to, leżące na południowo-zachodnim cyplu półwyspu Arabskiego, liczy około 1 1/2 miliona mieszkańców, rozrzuconych na 70 tysiącach kilome-

trów kwadr. powierzchni.

Mieszkańcy, spokojni rolnicy i kupcy, osiedli od wieków na roli, nie chcą mieć nic wspólnego z wojownikami Wahabitami, tymi pasterzami i wiecznymi nomadami pustyni.

Poza wspólną wiarą — nic ich też naprawdę nie łączy, a raczej wszystko dzieli. W przeciwieństwie do niezmiernie jałowej piaszczystej pustyni — ziemia tu jest niesłychanie żyzna, — toteż kwitnie tu na wielką skalę hodowla brzoskwiń, pomarańczy, a przedewszystkiem kawy, owej słynnej na cały świat „mokki”, nazwanej tak od miasta tej samej nazwy.

Yemen — to przecież bajeczny kraj

królowej Saby, to ów przedhistoryczny „Punt”, skąd już Egipcjanie sprowadzili najwspanialsze aromaty!

Stolica Yemenu, Sanaa, jest niewielkiem, 20 tysięcznym miastem, zbudowanym w czysto orientalnym stylu, ze swemi pałacami i meczetami, pełnym ruchu, gwaru i życia.

Jedynym państwem europejskim, posiadającym w Sanaa swój konsulat, są Włochy, które zawarły z Yememem traktat handlowy. Toteż Włochy szczególnie interesują się dalszym rozwojem wypadków na półwyspie Arabskim, wypadków, które nie mogłyby pozostać bez wpływu naic na kolonie afrykańskie, w pierwszej linii na leżącą po przeciwnym brzegu Morza Czerwonego, Erytreę.

(R.)

Jak lekarz wypędza djabła Belzebubem

Zapewne minimalny tylko odsetek czytelników słyszał dotąd o kwasie barbiturowym i jego pochodnych. Jakiego to słowa jest właściwie pochodzenia, skąd się wzięło, — trudno na to dać zadowalniającą odpowiedź.

Faktem jednak jest, że istnieje, — a pochodne owego kwasu barbiturowego odgrywają dużą rolę w terapii dzisiejszej. Pochodne te i przetwory, — to weronal, luminal i podobne środki nasenne i kojące. Odpowiednio dawkowane, pod ścisłą kontrolą lekarską, przynoszą ogromną ulgę w ciężkich chorobach nerwowych i bezsenności, — przedstawiają jednak pewne poważne niebezpieczeństwo: Pacjent przyzwyczaja się do nich, podobnie jak do morfiny czy kokainy, skutkiem czego zmuszony jest stopniowo zwiększać dawki. A kiedy raz wejdzie na tę niebezpieczną drogę, — powrót jest coraz trudniejszy. Chory nie może obyć się bez tego leku, zażywa go coraz częściej, w coraz większych dawkach i po przejściowym stanie euforii, zupełnego uspokojenia i zobojętnienia na wszystkie kłopoty i zmartwienia, — przychodzą napady uporczy-

wej newralgii, podniecenia, zamroczenia umysłu, — a nawet ataki szału, groźne dla chorego i jego otoczenia.

Weronal i inne podobne środki stały się już niejednokrotnie powodem śmierci, — czyto przypadkowej (skutkiem zbyt dużej dawki), czy rozmyślnej, samobójczej.

Przez długi czas medycyna nie znała niezawodnej, a skutecznej odtrutki na tego rodzaju zatrucia. Aż znaleziono go w jednej z najsilniejszych trucizn... w strychninie!

Dwaj uczeni Amerykanie dr. Hoggard i dr. Greenberg, studując wypadki otrucia strychniną na zwierzętach w laboratorium, stwierdzili, że właśnie związki kwasu barbiturowego działają tu w sposób zupełnie swoisty: podane w silniejszych dawkach neutralizują zupełnie trujące działanie strychniny, podanej zwierzęciu w dawce bezwarunkowo śmiertelnej.

Widocznie zatem między temi dwoma produktami istnieje jakiś zdecydowany antagonizm. I ten właśnie antagonizm postanowił zużytkować inny lekarz, dr. Ide z Leodjum, — w odwróconym porządku rzeczy: ratować zapomocą stry-

chniny ludzi otrutych weronalem... a więc wypędzać djabła Belzebubem!

I tu również pierwsze doświadczenia przeprowadzono na zwierzętach, — przyczem pokazało się, że celem zwalczenia śmiertelnej dawki weronału (czy pokrewnych mu środków) trzeba zaaplikować dawkę strychniny 4—5 razy większą od dawki śmiertelnej.

Doświadczenia te wypadły tak zachęcająco, że wkrótce już spróbowano tego — ryzykownego bądźco bądź — środka u ludzi, w wypadkach bezna dziejnych, gdzie śmierć wydawała się nieuniknioną.

Jest to środek ryzykowny, powtarzamy, — ale przyniósł on w wielu wypadkach ratunek, kiedy wszystkie inne próby zawiodły. I dlatego — o ile idzie o ratowanie życia ludzkiego, lekarze — zwłaszcza na Zachodzie, gdzie wypadki otrucia weronalem zdarzają się znacznie częściej wobec braku odpowiednich przepisów ograniczających i normujących wolną sprzedaż weronału, — nie wahają się przed stosowaniem tego środka ratunku

(kr.)

Najnowsze wykopaliska w Palestynie

Do najważniejszych wykopalisk, które zostały dokonane na przestrzeni ostatnich trzech lat w Palestynie, należą niewątpliwie prace dokonane z bardzo pomyślnym wynikiem przez Ks. Mallon'a, dyrektora jerozolimskiej ekspozytury papieskiego Instytutu Biblijnego (w Rzymie), zmarłego w kwietniu br. w 59-tym roku życia.

Wykopaliska, które są zdobyczą ks. dyrektora Mallon'a, znajdują się w okolicy Morza Martwego.

Ks. Mallon natrafił tam na niewątpliwe ślady kultury w zamierzchłej przeszłości. Według jego fachowej ekspertyzy około r. 3.000 przed Chrystusem kwitnęła w pobliżu Morza Martwego wcale wysoko posunięta (w

swym rozwoju) cywilizacja, która z czasem załamała się, a mniej więcej na 1.000 lat przed Abrahamem zupełnie zanikła.

Odkopane przezeń miasto: Taleilat el Gassul składa się z pewnej liczby małych domów, w których znaleziono szereg przedmiotów ozdobnych. Ks. dyr. Mallon zauważył ciekawy szczegół, że ściany niektórych domów były zwalane do wewnątrz w ten sposób, że — według wszelkiego prawdopodobieństwa — mamy tu do czynienia ze skutkami trzęsienia ziemi. Wśród malowideł ściennych, z których niektóre zachowały się w stanie wcale znośnym, uderza nas fragment zagadkowej procesji. Na fragmencie tym widzieliśmy sześć par nóg, obutych w czerwone

spiczasto zakończone trzewiki, a na przeciw nich idzie jedna para małych czarnych nóżek.

Innej ekspedycji, podjętej siłami francuskimi i amerykańskimi, udało się odkopać w miejscowości Dura-Europas nad Eufratem synagogę, z r. 245 przed Chrystusem.

Synagoga ta jest jednym z najciekawszych odkryć archeologicznych wogóle, jest ona bowiem pokryta malowidłami ściennymi, które nie były dozwolone naogół w synagogach.

Malowidła te przedstawiają całe sceny na motywach starozakonnnych, n. p. klęskę Egipcjan we falach Morza Czerwonego, wyświęcenia Aarona na kapłana, „święto namiotów”, ofiarę Eljasza, powrót „arki przymierza”, wizję proroka Ezechieja i t.

W tem samym Dura-Europas znalazła wspomniana wyżej ekspedycja francusko-amerykańska noemat epietny, obejmujący ponad trzy tysiące wierszy.

Ponadto odgrzebaną tam bardzo ciekawy grobowiec z XIII w. prz. Chr. ozdobiony pięknie obrobionymi kamieniami, i wreszcie jedną budowlę z okresu bizantyjskiego.

Mgr. H. W.

MARJA KONOPNICKA

Gdyby pieśń znikła kiedy, — to mogłyby jękiem i echem ton sobie podadzą i morza będą w srebrne harfy bily...

bo świat ten stoi pod mocą i władzą pieśni — i czerpie z niej tajemne siły, co go przez drogę ognistą prowadzą, i posiew czynu rzucają w zarzewie serc — i świat żyje pieśnią, — chociaż nie wie.

Monachjum, 21 kwietnia 1899.

Nieznany ten zupełnie drobny utwór Konopnickiej zamieszczony został w „Sztambuchu” śp. Ludomiry Siła-Nowickiej emeryt. prof. Seminarjum nauczycielskiego żeńskiego we Lwowie, zmarłej dnia 14. 10. 1933 roku. (Redakcja).

Z szarego życia w U. S. A.

„Wszyscy rodzą się równymi“
(All men are created equal...)

Czy może być coś bardziej pięknego, ludzkiego i demokratycznego, niż to powiedzenie Lincolna? Tak, Amerykanie mają być z czego dumni. I to hasło jest tak piękne, że kraj który je posiada na karcie swej historii, powinien być demokratyczny choćby tylko dlatego, żeby można ten hasłem operować.

W „nawskróś“ demokratycznej Ameryce, gdzie każdy uczy się mowy Lincolna pod Gettysburgiem, jak pancerza, przez całe swoje szkolne życie, — a wszystkie piękne hasła które porywają tłumy, wygłasza się i powtarza do znudzenia przez przeciąg paru tygodni przed każdym wyborem, — jakże nie ma wiecznie królować demokracja. Wszędzie na całym świecie jest ona prawie teoretyczną, ale teoria demokracji najdoskonalsza jest w U. S. A. I to coś znaczy, bo niektórzy narody nawet nie mają jej w teorii. Od teorii do praktyki zawsze już trochę bliżej, niż od — zera. „Niema to jak w Ameryce“ zwykli mówić re-emigranci, którzy wracają do Europy. „Tam nawet bardzo bogaty właściciel podaje rękę robotnikowi, zasiada z robotnikami do jednego stołu, osobście interesuje się nimi, mówi się mu „ty“, a tu u nas każdy jaki mały urzędnik, zadziera nosa“ itd. Mają trochę racji. W Ameryce robotnik każdy jest traktowany dobrze. Prawo nie pozwala traktować go inaczej. Taki „bos“ czyli właściciel w Ameryce musi być sprytny. Ten spryt, okryty płaszczkiem demokracji, często bardzo popłaca. A jeżeli nie pomoże to, nigdy nie zaszkodzi.

Przykład z szarego codziennego życia w Ameryce;

Właściciel fabryki, producent na mniejszą skalę, często wpada na wspólny lunch z robotnikami, siada na pierwszym lepszym miejscu, wypytuje się troskliwie każdego z osobna o wszystko nie wykluczając spraw osobistych: Jak miewają się dzieci, jak się uczą, czy rodzina się nie powiększyła? a jeżeli tak, to wspinałomyślnie wymię parę dolarów dla noworodka. Zjadając zwykły sandwich (kanapkę) czule wspomina czasy, kiedy sam był robotnikiem, opowiada, jak to został udziałowcem. Po lunchu niemal zawsze zaproponuje zamożniejszym którzy zdążyli uciuć trochę grosza akcje swej firmy.

A któż dzisiaj nie chce szybko dorobić się majątku? Chyba tylko uczyony przestaje czasem na sławie.

Robotnicy chętnie nabywają akcje. O łatwości nigdy nie trudno.

Cała sztuka w tem, aby umieć zjeść sobie robotnika. W Ameryce właściciele specjalnie uczą się tej sztuki. Czas, który nato tracą zawsze przynosi dobry zysk.

Najgorszy człowiek, największy wyzyskiwacz umie sprawić, że robotnik zawsze będzie go uważał za swego dobroczyńcę. I będzie święcie przekonany, że „bos“ robi mu łaskę że wogóle go zatrudnia.

Przypuśćmy, że taki właściciel spożywa z robotnikami lunch. Wtedy jednym strzałem zabija trzy ptaki. Zjednywa sobie serca robotników, zyskuje popularność, zdobywa możliwość orjentowania się w różnych sytuacjach. To znaczy dowiaduje się, jak daleko jeszcze można posunąć wyzysk, nie tracąc zaufania. Sam osobście wzywa robotników do współpracy, wprawia w nich, że daje im możliwość pracowania tylko dla nich samych. Przedstawia siebie jako kozła ofiarnego, który nie likwiduje interesu tylko dla tego aby oni, robotnicy, mieli chleb. Plac nie wolno obniżyć, bo rząd na to nie pozwala. Ale jeżeli robotnicy sami dobrowolnie domagają się tego, jest to bardzo mile widziane. Właśnie na tem polega cała sztuka. Jak to zrobić żeby robotnik sam z własnej woli przyszedł i domagał się obniżki płacy? Niema nic łatwiejszego, nawet w kraju, gdzie pieniądź jest celem życia. Przedewszystkiem daje się dobrą łapówkę któremukolwiek dzien-

nikarzowi (każdy prawie z amerykańskich dziennikarzy pocichu tak zarabia) Pismo czy małe miasteczkowe czy wielkomijskie wydrukuje każdą fikcyjną wiadomość za dobrą opłatą. Żeby uzyskać dobre rezultaty trzeba aby taki „bos“ „czarno na białym“ wykazał się przed robotnikami że nie może płacić im pensji jaką płacił przed ukazaniem się tej wiadomości o kiepskim stanie jego interesów. Robotnicy mają do dobrego bossa dużo zaufania. Jeżeli on im powie, że nie jest zdolny tak dużo płacić i że będzie musiał pewną ilość robotników zredukować, to wtedy oni sami godzą się na obniżkę. Żaden nie wie, kto zostanie oddalony, każdy woli mieć mniej, aniżeli nic nie mieć. W takich to wypadkach zwołują posiedzenie między sobą, wybierając delegację, która idzie do „dobrego“, kochanego bossa i przedkłada projekt, aby raczej wszystkim trochę ujęto, niż zredukowano wielu. Oczywiście boss godzi się po lekkim wahaniu i namyśle. Dziękuję robotnikom za ich wyrozumiałość dla niego i dla siebie samych. Głośno ociera nos (dla lepszego efektu) ledwo, ledwo powstrzymuje szloch, tak jest wzruszony. Przecież uzyskał to, co chciał, może nawet więcej, niż chciał. Każdy jest zadowolony. W tem sek. Nikt nie narzeka, panują serdeczne stosunki między pracownikami i właścicielem.

Niech ktoś spróbuje dojść do tego samego prostą drogą w Europie, a zobaczyny, jak to wypadnie. Każdy robotnik krzycałby, że żyje się jego krwawica. A przedewszystkiem nie u wierzy pracodawcy, nawet uczciwemu. Często są teraz w Ameryce bankructwa. Zdarza się, że ktoś naprawdę zmuszony jest zwinąć swoje przedsiębiorstwo. Wtedy oddaje cały majątek lub zabierają mu go wierzyciele. To znaczy majątek, co do którego można legalnie udowodnić, że do niego należy. To, co przepisano na inne nazwiska i konta bankowe nie wchodzi w rachubę.

Bankrut oddaje na pokrycie pasywów, co zechce. Jeżeli jego przedsiębiorstwo wypuszczało akcje, nabywcy ich tracą wszystko. Nikt się nad nimi nie rozczula. A poszkodowany nie będzie się procesował, bo wie, że lata procesowania się z człowiekiem, który dowiódł władzom, że nie nie ma, byłoby bez skutku.

Gdyby nie płaszczek demokracji, w który stroją się nieuczciwi, wielu pracownikom i robotnikom nie przysłoby nawet na myśl lokować swe ciężko zapracowane grosze w akcjach, po największej części wcześniej czy później spadających w wartości.

Ameryka słynie z demokratyczności w życiu towarzyskim. Można by u wierzyć, jeżeli z ta demokracją nie miało się do czynienia. Trudniej jest o wiele w Ameryce dostać się z niższej do wyższej sfery, niż w Europie. Można być osobą kulturalną i inteligentną, ale jeżeli się pochodzi z niższych sfer, a wybiło się do wyższych, nikt o tem nie zapomina.

W Europie arystokrata żeni się z mało inteligentną chłopką. Przez jakiś czas mówi się o tem i pokipiwa, ale niechno tylko chłopka ubierze się w suknie od Jean Patou, wszyscy choć z początku dość sztywnie, całują rączki i padają do nóżek. W demokratycznej Ameryce trudniej to przychodzi. Milioner żeni się z pokojówką, (a pokojówki często bywają inteligentne), cały świat wie o tem, że ożenił się z pokojówką. Reporterzy i fotografowie nie dają mu spokoju.

Amerykańskie damy z towarzystwa bojkotują taką niby damę, nie bacząc nawet na stanowisko jej męża. Tylko wyjątki, dzięki nabytej w ciągu lat inteligencji mogą mieć dostęp do wyższych sfer. Zwykle jednak takie panie są tak zajęte swem nowym życiem jako żony bogatych ludzi, że im na em nie zależy imnie starają się bardzo o wzbogacenie swych dusz i umysłów. To właśnie owe słynne ekscen-tryczne milionerki. Dzięki swej egocentryczności i potędze pieniądza stają

się znane. Reklama dobra czy zła, byle była...

Natomiast jeżeli ktoś o własnych siłach z małego roznosiciela gazet staje się milionerem, wtedy jest ogólnie szanowany. Drogi, jaką to zdobył lub sporobu, którego użył, nie bierze się zbyt nio pod uwagę. Powiedzenia ludzi, którzy dorobili się majątku, uważa się zawsze za mądre, bez względu na treść. Każdy chętnie czyta przepisy na dojście do bogactwa.

W Ameryce nikt nie wierzy w idealizm jakiejś jednostki, jeżeli ta jednostka nie posiada sporej fortuny. W przeciwnym razie mówi się: Ten oto idealizmem chce okryć swe braki materialne.

Pieniądze tworzą rodzaj mostu, po którym przechodzi się ze sfery do sfery. Jest jeszcze coś potężniejszego od pieniądza, coś, co lepiej toruje drogę, niż most z dolarów. Złoty interes można zrobić (przy tem nic nie ryzykując). Ta potęga i laseczka magiczna, otwierająca wrota snobowi do raju snobów, do arystokracji amerykańskiej jest tytuł. Poczawszy od barona wstąpił. — Oczywiście musi być sprawdzony i potwierdzony przez ambasadę danego kraju, z którego wywodzi się arystokrata i jego ród. Jak robi się taki złoty interes bez pozbywania się wolności osobistej? Rzecz zupełnie prosta.

Najlepszy przykład:

Książę A. (z rodu Romanowych) miał w Chicago w roku 1929 proces o zaległe raty za meble, wzięte od pewnej firmy na kredyt. Miał żonę i synka, więc nie mógł ożenić się z milionerką tak na poczekaniu. Co robić, aby wybrnąć z niemiłej sytuacji? Ktoś bardzo życzliwy podał mu projekt. Dzia-łaj książę A. ma posiadłość w Stanie Indiana, wille w Oak Parku (bogate przedmieście chicagowskie) i utrzymuje apartament w hotelu Drake. I nic za ten apartament nie płaci. Nie pracuje, a ma dobrą posadę — można powiedzieć, z całym utrzymaniem. Gdyby nie dobra ciocia demokracja, byłoby więcej jeszcze o jednego księcia szofera lub maitre d'hotel.

Obiady duże, ostentacyjne, oficjalnie wydawane przez różnych dorobkiewiczów i snobów z amerykańskiego towarzystwa, są kompletnym fiaskiem (façon) jeżeli nie są udekorowane o-becnością jakiejś postaci „egzotycznej“ z innego świata. Egzotycznością najmiej widzianą są właśnie ludzie z tytułami.

Praca danego księcia A. danego za przykład, polega na tem, że przyjmuje on oficjalnie zaproszenie jakiegoś dorobkiewicza — z tą różnicą, że umawia się najpierw z gospodarzem, u którego ma być na przyjęciu, o... honorarium. Racja. Przecież nie będzie się książę nudził całkiem za darmo lub za samą kolację. A coby był za sens sprawać sobie samemu frak na przyjęcie u jakiegoś bogacza? Dlatego umowy bywają bardzo szczegółowe. Do honorarium dolicza się poważną dość kwotę na frak i dodatki. Za frak jako dodatek nadzwyczajny książę A. daje też taki dodatek nadzwyczajny. Obowiązują się wpaść całkiem przypadkowo na „nieoficjalną“ herbatkę lub lunch. To robi bardzo dobre wrażenie na znajomych gospodarza. Honoraria w sezonie przyjęć są, nawet na stosunki amerykańskie, ogromne. Dolarów pięćset i frak z dodatkami, razem okrągłą sumką od sześciuset do siedmiuset dolarów. Absolutnie nie wypada pokazać się w tym samym fraku u państwa X i u państwa Y...

W samem Chicago jest troje takich popularnych, bywających w najwyższych sferach, arystokratów. Najbardziej pożądana wszędzie jest hrabina M. bardzo miła.

Zdarza się, że bywa ich dla większego efektu po dwoje. Mają wyrobioną markę. Ludzie wiedzą, że są autentyczni. Każde przyjęcie opisywane jest w kolumnach dzienników, które poświęcają kilka stron życiu towarzyskiemu. Opisuje się wszystko i wszystkich, nie pomijając ani kolorów sukni, ani zespołu artystycznego. Figuruje nawet

kucharz i dekorator. To nie tak, jak u nas. Przyjęcia są tak kosztowne i wy-stawne, więc trudno aby skromny europejczyk uwierzył, wszystkiemu na słowo. Istnieje nawet asekuracja, polegająca na tem, że jeżeli ktoś skopuje dekorację z przyjęcia u pani B., towarzystwo musi wypłacić pewną sumę „poszkodowanej“. Towarzystwa asekuracyjne angażują nawet zdolnych dekoratorów, i w ten sposób upewnają się, że nie będą musiały płacić odszkodowań.

Najtrudniej wejść w towarzystwo w małym miasteczku. Tam jeszcze mniej demokracji. I największe wymagania, bo bierze się pod uwagę nie tylko stan majątkowy, ale też wyznanie i narodowość. Trzeba być w takim one horse town (jednokonnym mieście, po naszymu w Płidówce), albo presbiterjaninem, albo metodystą, albo protestantem, a z zawodu conajmniej właścicielem dobrze prosperującego sklepu z galanterją (dry goods). Oczywiście sklep musi być z tradycją od dziada pradziada. Trzeba mieć również dwa auta, kort tenisowy i przodka z nowej Anglii. Amerykanin, który może się poszczycić przodkiem, przybyłym do Ameryki na okręcie Mayflower w siedemnastym wieku, lub choćby w sto lat później do nowej Anglii, jest tak dumny i zarozumiały, że nie przystępuje bez kija.

Składa się nieraz tak, że ktoś przeprowadza się z miasta do miasta. Ciężkie przechodzi koleje, zanim dostanie się do miejscowego towarzystwa. Nieznajomi zupełnie sąsiedzi pierwsi zjawiają się z wizytą. Panie pomagają, jak mogą przy rozpakowywaniu i urządzaniu się. Najbliższa sąsiadka zjawia się z tortem, i zaprasza na oficjalny lub skromny zupełnie obiad. Zależnie od sfery społecznej, do której należy.

Wystarczy nie mieć maszyny do prania i najnowszego zamiatacza elektrycznego, maszyny do lodów lub dość porcelany, mieć niemożliwe meble, a już straciło się 99% szans należenia do miejscowego country clubu (klub ziemiański, najbardziej elegancki). Nie mając konta bieżącego w banku miejscowym nie można tak łatwo należeć do „klubu“.

Aby obracać się w lepszej sferze małomiasteczkowej, trzeba być z narodowości conajmniej Anglikiem, choć moda wymaga nie lubić Anglii? patriotyzm prawdziwego Amerykanina na to nie pozwala. Szkoci i Holendrzy są mile widziani. Najmiej jednak Francuzi, ponieważ niema ich tyle, ile jak każdej innej narodowości. Irlandczycy „suchną“ rybami, więc też mają małe szanse. Zmienić trzeba narodowość, jeżeli jest się z pochodzenia Włochem, Meksykaninem lub Słowianinem. Nie bardzo nęci ta amerykańska demokracja w swej odmianie towarzyskiej.

Powodem tego jest, że przeciętny Amerykanin albo zbyt mało, albo wogóle nie orientuje się w historii europejskiej, gdy wybiera się do Europy, ma na myśli Paryż. Poza Paryżem nie go nie zajmuje i żadne inne miasto nie pociąga go i nie może poszczycić się jego szacunkiem. Francuzi nie mają po co jeździć do Ameryki, bo ta Ameryka i tak przyjeżdża do nich. Najlepiej czują się jej mieszkańcy we Francji, bo Francja (to znaczy Paryż) daje im właśnie to, co mają u siebie w domu, tylko inaczej to podaje. My Polacy, jeżeli chodzi o całkiem przeciętnego Amerykanina, mamy minimalne szanse. Dziwić się tak dalece nie można. Ocenia nas zagranicą po naszej reprezentacji. Naszą reprezentacją w Ameryce są przedewszystkiem mało inteligentni chlapi, którzy wyjechali na roboty. Osiedlają się zawsze prawie z myślą, że dorobiwszy się, powrócą do kraju. Podczas pobytu siedzą po polskich kolonjach, nigdy nie mogą dobrze opanować języka i nie z siebie społeczeństwu amerykańskiemu nie dają. Stowarzyszenia mają własne polskie kościoły i szkoły. Amerykanie są tego zdania, że można mieć tylko jedną ojczyznę, a tą jest kraj, który daje chleb człowiekowi.

Smutna to prawda, ale Polak w oczach tego przeciętnego Amerykanina to człowiek, który w sobotę wieczór u-pija się jak bydle, klnie wstrętną an-

głównie, a jadąc na „pitniki“ śpiewa po ulicach. Polskie wesele (taką już Polacy amerykańscy mają tradycję), musi koniecznie odbyć się w „salonie miękkich napojów“ (po naszymu w karczmie) przy hucznej muzyce. Nie umiemy nasi być skromni i dystyngowani. Założy się śmiało można, że w sobotę popołudniu lub w niedzielę Amerykanin na ulicy zawsze potrafi rozróżnić narodowość tylko po zewnętrzny wyglądzie. Zamożniejszy przeciętny Polak lub Słowianin amerykański nie ubiera się w inną koszulę, niż w jedwabną, w kolorze od jasno-zielonego do różowego. Do tego lakiery albo żółte trzewiki i krawat jedwabny w duże kwiaty.

Polacy w Ameryce mało kształcą swoje dzieci. Na uniwersytetach liczba Polaków jest taka skromna!

Jeżeli potonkowie tych Polaków zdobywają wyższe wykształcenie, to wstydzą się polskości swych ojców i, urodzeni w Ameryce, czują się Amerykanami. Nasza propaganda w Ameryce jest marna. Związek Narodowy Polski propaguje polskość tylko wśród

swoich, ale zbyt mało kto dba o naszą opinię w oczach Amerykanów.

W roku 1929 wydano w Chicago broszury dla szkół publicznych o różnych bohaterach, a nasz Kościuszko figurował jako Litwin!!!

Niekażdy wie, że istnieje w Ameryce miesięcznik Poland. Polonia interesuje się tym miesięcznikiem, ale rodowitemu Amerykaninowi nie przyszłoby na myśl prenumerować drogi miesięcznik cudzoziemski. Wystarczają mu własne po 5 centów.

Mamy swoją kochaną Gdynię. Czy nie możnaby organizować tanich wycieczek tylko dla rodowitych Amerykanów? Jastrzębia Góra, Zakopane, Huculszczyzna taka malownicza, a Kraków? Pomijając drogi, posiadamy prawdziwe skarby turystyczne, tylko ich nie umiemy reklamować. Niechby Skarb Państwa coś dołożył, a zaprosił do nas na wycieczkę nauczycielstwo amerykańskie i studentów. To są jednostki, które mają dostęp do mas. Nauczyciel stoi tam na wysokim poziomie społecznym, a gdyby poznał Polskę, napewno nie omieszkałby opowiedzieć

cośkolwiek o niej pupilom, przechodzącym przez jego ręce. Turystyka do nas mogłaby się stać modną i to podniosłoby nas w oczach zachodu. Czesi mogliby nam przyświecać przykładem.

Możnaby robić bardzo wiele. Przydałby się scenariusz filmowy polsko-amerykański, ale taki, aby skłonił przeciętnego Amerykanina do wzięcia do ręki mapy Polski.

W najgorszym wypadku dla nieodwrotnej reklamy niżej podpisana proponuje, aby na początek przywieźć (to znaczy wykraść) „kamień wieczności“ (eternity rock) z narodowego parku Yellowstone na nasz kamień węgielny do narodowego parku w Tatrach. Pół Ameryki conajmniej zjechałoby po odbiór legendarnego kamienia i na własne oczy zobaczyło Polskę. A możeby nam darowali „kamień wieczności“ i zostali na poświęceniu kamienia węgielnego? Spróbować możemy.

Inaczej małe mamy szanse w demokratycznej Ameryce.

EMILJA KICMALÓWNA
(Rudniki, k. Śniatyna).

Maj, 1934.

stach. Plakaty, ułożone zupełnie w duchu nowoczesnej reklamy:

„Piękne i rzadkie obrazy do sprzedania! Podaje się do powszechnej wiadomości, że dnia 19 lipca roku 1683 w „domu mynhera Teniers, malarza Ich Wysokości, zostaną sprzedane rozmaite piękne i rzadkie obrazy, zarówno włoskich i niderlandzkich, jak i innych biegłych mistrzów; do tego liczne dzieła jego własnej ręki oraz kopje. Kto ma „na to ochotę lub chce je obejrzeć, niechaj przyjdzie“...

Plakat ten wywołał gwałtowny protest ze strony innych malarzy, którzy zażądali od magistratu cofnięcia pozwolenia na tego rodzaju licytację, dopuszczalną dopiero po śmierci danego malarza.

Ale Teniers znalazł dobrego obrońcę, który między innymi wywodził, że Teniers w ten sposób dobrze przysługuje się miastu i sztuce: naskutek podobnego ogłoszenia zjadą się niewątpliwie z różnych stron kraju bogaci mecenasi sztuki, a to przecież leży w interesie zarówno samego miasta, jak i innych malarzy, którzy prędzej i łatwiej znajdą nabywców na swoje dzieła.

Ostatecznie sprawa załatwiona została ugodowo. A jakie wyniki dała licytacja, — o tem historia milczy.

Trzeba przytem pamiętać, że Teniers jun. cieszył się wówczas w Brukseli wielkim mirem i dużymi wpływami, które potrafił wyzyskiwać nie tylko dla swych osobistych celów.

Dzięki jego to usilnym staraniom i zabiegom powstała właśnie w Antwerpii pierwsza Akademia sztuk pięknych, której uroczyste otwarcie nastąpiło 26 października 1665.

Toteż wdzięczne miasto uczciło w roku 1867 jego pamięć brązowym pomnikiem, — który to zaszczyt przypadł pozatem tylko pięciu innym wielkim mistrzom w udziale: Quinten Massys, Rubens, van Dyck, Jordaens i Henryk Leys, największy malarz Antwerpii w XIX stuleciu.

(k. r.)

Dawid Teniers junior

„Dynastje“ malarskie. — Kłopoty malarza ze synem. — Plakaty i licytacja

W malarstwie, jak może w żadnej innej gałęzi sztuki, trafiają się niekiedy formalne „dynastje“, w których talent przechodzi niemal dziedzicznie z ojca na syna. Żeby nie sięgać daleko, — wystarczą wskazać choćby na rodzinę Kossaków lub Styki...

Wypadki podobne zdarzały się dawniej o wiele częściej. Każdy wybitniejszy malarz miał swą szkołę i swych uczniów, do których w pierwszym rzędzie zaliczał się czyto młodszy brat czy któryś ze synów artysty o ile tylko posiadali iskrę talentu. W ten sposób wytworzała się „dynastja“ malarzy, sprawiająca historykom sztuki nieraz sporo kłopotu, zwłaszcza wobec faktu, że artysta nie zawsze podpisywał swe dzieła pełnym imieniem obok nazwiska, a tembardziej nie kładł obok podpisu objaśniającego dopisku „senior“ czy „junior“.

Najwięcej kłopotu może mieli historycy z malarzem flamandzkim, Dawidem Teniers. A właściwie... aż z czterema Dawidami, na przestrzeni czterech generacji.

Poczet ten otwiera Dawid Teniers, zwany „senior“ (1582—1649), twórca licznych obrazów, których tematem są najczęściej sceny z życia ludu, pejzaże, postacie mitologiczne itp.

Spośród pięciu jego synów, trzech poświęciło się malarstwu. Ale tylko jeden z nich — znowu Dawid — zdobył sobie sławę już za życia, a nazwisko jego przeszło do historii sztuki.

Dawid Teniers „junior“ (1610—1690), jak go nazwano dla odróżnienia od ojca, pozostawił bogaty dorobek artystyczny. Był to talent wielki i bardzo wszechstronny, — a jego liczne obrazy z życia ludu, kiermasze, zabawy, sceny w karczmach, są pozatem znakomitym materiałem dla poznania obyczajów i kultury ówczesnej.

Na obrazach tych nigdzie nie znajdziemy obok nazwiska malarza dodatku „junior“, — podobnie zresztą jak i ojciec jego nie podpisywał się nigdy „senior“.

Jedyny obraz, znajdujący się w kościełku wiejskim w Terk, a przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem i klęczącego przed nią św. Dominika, — podpisany „Dawid Teniers junior“ jest zatem niewątpliwie dziełem najstarszego syna wielkiego malarza, — o którym niewiele wiemy. Trzeci ten już Dawid (1638—1685) nie pozostawił po sobie żadnych

znaczniejszych dzieł — i widocznie również i w życiu prywatnym niczem się nie odznaczył, skoro na grobowcu jego wyryty został krótki, a wymowny napis: „Urodził się, ożenił i umarł...“

Pozostał po nim syn — Dawid IV, — również malarz. Na szczęście wyemigrował on za młodu do Portugalji i tam też umarł zapomniany zupełnie, ułatwiając zadanie przyszłym biografom, którzy i tak już z trzema Dawidami nie mogli sobie dać rady.

A już Dawid Teniers junior miał za życia ze swym synem — imiennikiem — niemało kłopotów. Najpierw długi i przykry proces o spadek po pierwszej żonie naszego malarza, proces krzywdzący go niesłusznie.

Jeszcze więcej hałasu narobiło ogłoszenie zamieszczone w dziennikach niderlandzkich, iż dnia 4 czerwca 1665 odbędzie się w domu zmarłego malarza

Teniersa jun. publiczna licytacja pozostałej po nim spuścizny, książek, dywanów, mebli i obrazów, częściowo włoskich malarzy, częściowo własnych prac zmarłego. Gdy zaś w tym czasie Teniers jun. jeszcze żył, zatem złośliwi ludzie ukuli plotkę, iż rozmyślnie podał się za zmarłego, by na licytacji móc uzyskać lepsze ceny, niżby to zdołał za życia. Plotka ta, jak wykazały nowe badania, pozbawiona była wszelkich podstaw, — licytacja bowiem odbyć się miała w domu przy ulicy Hoogstraat w Brukseli, gdzie mieszkał syn naszego malarza. Dawid III i obejmowała spuściznę po nim właśnie pozostała.

Inna rzecz, że Dawid Teniers junior był nie tylko dobrym malarzem, ale i doskonałym kupcem. Świadczą o tem wielkie plakaty, jakie kazał w lecie 1683 r. rozlepić w Brukseli i sąsiednich mia-

Użyźniające eksplozje

Kiedy po zakończeniu wojny światowej, życie poczęło wracać powoli na normalne tory, a rolnik zabrał się znowu do uprawy ziemi, jego żywicieli, — zaobserwowano, zwłaszcza na froncie zachodnim, ciekawe zjawisko: znaczne zwiększenie urodzajności ziemi na tych odcinkach, gdzie była ona najsilniej zryta granatami i innymi pociskami eksplodującymi.

Na skutek tych obserwacji przeprowadzono cały szereg analogicznych doświadczeń z rozmaitemi materiałami wybuchowymi, — a doświadczenia te dały wyniki bardzo zachęcające. Pokazało się mianowicie, że materiały wybuchowe, sporządzone ze związków azotowych, znaleźć mogą bardzo obszerne i różnorodne zastosowanie, o ile idzie o uprawę lub użyźnienie gruntu lichego, jałowego, nie nadającego się dotychczas pod uprawę.

W rachubę wchodzi tu: nitrofenol, nitrokresol, nitrotoluen i nitronaftalina.

Materiały te, stosowane do celów rolniczych, nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa: nie eksplodują ani przy uderzeniu ani przy upadku, — lecz tylko pod działaniem spłonki lub iskry elektrycznej.

Jak wykazały podjęte w tym kierunku próby, potrzeba jest 100—125 gr. takiego ładunku, by po eksplozji tegoż o-

trzymał około ośm metrów kubicznych ziemi, doskonale spulchnionej i nadającej się natychmiast do uprawy.

Działanie takiej eksplozji jest podwójne: mechaniczne i chemiczne. Mechaniczne polega na tem, że stosunkowo małym nakładem kosztów i pracy uzyskuje się odrazu grunt, głęboko „przeorany“, nie wymagający żadnych prawie dalszych zachodów.

Co do działania chemicznego, to skutkiem wybuchu wytwarza się azot i tlenek węgla. Ten ostatni działa zabójczo na wszelkie owady, robaki i inne szkodniki roślin; natomiast azot, zaabsorbowany przez ziemię, wytwarza związki azotowe, stanowiące bardzo cenny nawóz sztuczny.

Tego rodzaju materiały wybuchowe znalazły też już szerokie zastosowanie w pierwszej linii w Ameryce, gdzie używa się ich na terenach skalistych, jałowych, nie nadających się pod kulturę.

Stosują je również od dłuższego czasu Niemcy i Belgia na ziemiach wilgotnych i bagnistych. Bardzo wydatnie korzysta z tego nowego systemu uprawy ziemi Francja, zarówno u siebie w kraju, jak i w swych afrykańskich kolonjach. Prosty ten a tani środek oddaje znakomite usługi właścicielom sadów, naturalnie odpowiednio dawkowany, by skutkiem eksplozji nie uszkodzić korze-

ni drzew.

Natomiast we francuskich kolonjach wyniki były znakomite, przechodzące wszelkie oczekiwania. Setki i tysiące hektarów ziemi, dotąd zupełnie pustej i jałowej, zamierzono na grunta urodzajne, na których rosną palmy, cytryny, pomarańcze i winnice. Ziemia przedstawiała się tam jako twarda, gruba skorupa, nieprzepuszczająca wody, a temsamem uniemożliwiająca wszelką wegetację.

Pod działaniem tych materiałów wybuchowych ziemia pęka głęboko, a przez powstałe szczeliny może woda z powierzchni przenikać do znajdującej się w głębi warstwy piasku, zamiast ulec odrazu szybkiemu wyparowaniu.

Mając potrzebny zapas wilgoci i doskonałego nawozu azotowego, rośliny rozwijają się rosną znacznie szybciej. Drzewa cytrynowe i pomarańczowe, zasadzone na takim gruncie, już w trzecim roku wydają obfite owoce.

W ten sposób wydarto pustyni afrykańskiej olbrzymie obszary ziemi, dające dziś ludności tamtejszej i osadnikom doskonałe dochody.

I to zdaje się jest jedyne „plus“, jakie można zapisać na rachunek ostatniej wojny: bomby i granaty, siejące śmierć i zniszczenie, pouczyły ludzi, że nawet i te straszne, mordercze środki walki, dadzą się w pewnej mierze użyć na pożytek ludzkości...

(kr.)

Płeć... słaba?!

Wielkie wstrząsy polityczne, społeczne, kulturalne, a w pierwszym rzędzie — gospodarcze, które nawiedziły ludzkość w dobie obecnej, nie szczędząc jej ciosów dotkliwych i bolesnych, coraz boleśniej-szych, — silą faktów odwracają uwagę nawet najbardziej zainteresowanych od tzw. „frontu walki o wyzwolenie kobiety”. Walka ta trwa, choć i na prawie innej zupełnie płaszczyźnie i w innej formie prowadzona, niż głośny przed paru dziesiątkami lat ruch feminizmu i sufrażyzmu, niepozabawiony histerji i cech komicznych zarazem, tylkrotnie smagany biczem satyr czy tylko łagodnie wysmiewany i satyryzowany przez beletrystykę.

Dzisiaj walka toczy się głównie na terenie społecznym i obywatelstwa, — ponadto jednak kobieta domaga się przyznania jej prawa uczestniczenia w budowaniu kultury i tworzeniu historii. Na tem właśnie tle powstają głównie najwłaźniejsze konflikty między entuzjastami, a zakamieniałymi wrogami „wyzwolenia i równouprawnienia kobiety”. Konflikty, których źródłem i punktem wyjścia jest dylemat: czy kobieta zdolna jest do uczestniczenia narówni z mężczyzną w tworzeniu wartości kulturalnych? W tym wypadku jedni i drudzy przywołują na świadka historję, w której światło roznieca się nową walkę o istotę i przyczynę niewątpliwie przez historję stwierdzonej „słabości” płci żeńskiej.

Cóż właśnie z historycznego punktu widzenia, z perspektywy dziejowej — argumentacja obu stron odnośnie tej słabości nie wytrzymują krytyki: entuzjaści i entuzjastki „wyzwolenia” kobiety nie mają racji, twierdząc, że płeć słaba brutalnie odsuwana przez brzydszą, a silniejszą męską od udziału w tworzeniu dziejów i kultury, nie miała zupełnie żadnych możliwości do wykazania swych zdolności w tym kierunku; równie nie mają słuszności z punktu widzenia historji i antyfeministki, dowodząc, że właśnie na skutek przyrodzonej „słabości” kobieta z góry wyłączona była od wpływów na bieg dziejów i rozwoju cywilizacji. W rzeczywistości, w świetle prawdy faktów historycznych płeć słaba, tak bardzo lekceważona, tak dziś uskarżająca się na swą przymusową „słabość” i ponisująca na sprawców tej słabości — wcale słabą nie była. Historia bowiem — pojmowana, jako przegląd całokształtu dziejów rozwoju cywilizacji, organizmów społecznych i politycznych, form bytu i myślenia — nie będzie wchodziła w szczegóły poniżenia haremowego, instytucji pasów cnoty, pokutujących w różnych epokach, — poglądów i wierzeń o niższości, nieczystości czy szatańskim pochodzeniu kobiety, — nie, dla niej ważne jest to jedynie, czy i o ile kobieta, mimo swjej „słabości” lub właśnie dzięki niej — przyczyniła się do takiego, a nie innego rozwoju dziejów ludzkości i cywilizacji, — o ile prawne fakty, pewne momenty przełomowe zaistniały — dzięki kobiecie właśnie w ten, a nie innych sposób, — o ile pewne niezmiernie doniosłe skutki za przyczynę swą miały kobietę, jako świadomy a najczęściej — nieświadomy, bierny zupełnie motor myśli, namiętności i czynów, tworzący dzieje.

W tem świetle rola kobiety w historii ludzkości i kultury nabiera ogromnego znaczenia, wyrasta nieraz do rozmiarów olbrzymich, potężnych, budząc w pierwotnej intelektualnie ludzkości dawnych wieków zabobny strach lub boską cześć. Rzecz znamienita, że wszelkie najstarsze podania najrozmaitszych ludów globu ziemskiego prawie jednogłośnie i jednako wo czynią kobietę sprawczynią — bliźnią najczęściej — największych, najbardziej przerażających lub zdumiewających — kataklizmów. Tradycja starohebrajska, — smiertelna w Biblii i przejęta przez

chrześcijańską Europę, — o kobiecie — Ewie, ulegającej pokusie węża i stającej się bezpośrednią przyczyną utraty wiecznego szczęścia — Raju idzie w parze z helleńskim mitem o wcieleniu najwyższej piękności — Helenie, z której winy rozpętuje się najstraszniejsza, najbardziej utrwalająca się w przerażonej i zdumionej pamięci, bratobójcza walka wszystkich szczepów helleńskich pod Troją.

Dodajmy do tego zupełnie mało znany (zwrócił nań uwagę Tadeusz Zieliński w książce „Świat antyczny”, Starożytność bajeczna) mit o naszyjniku Harmonji, wadług którego prężność kobiety staje się elementem centralnym mitologii antycznej okresu przedtrojańskiego — elementem złowrogim, łączącym wszystkie podania greckie w jedną wielką tragedję. Sztuka — doskonale odzwierciedlenie psychiki i kultury ludzkich, jej elementów najważniejszych, uświadamianych sobie jako najbardziej twórcze, — i elementów podświadomych — we wszystkich epokach kładzie olbrzymie nacisk na rolę kobiety w dynamizmie dziejowym — rolę, potężną, a najczęściej nieświadomianą sobie, bierną.

I tak — jak w „Iliadzie” Helena, a w „Odyssei” Penelopa — w staroindyjskiej epopei „Ramajana” staje się kobieta — Sita, małżonka Ramy — głównym motorem wszelkiej akcji. W najstarszym zaś epickim zabytku babilońskim — eposie o Gilgameszu — poraz pierwszy znajdujemy tak dobrze znany w dziejach psychologii czynu i miłości wszystkich epok, — tylokrrotnie utrwalany przez tradycję i literaturę piękną (Samson i Dalila, Odys u Kalypso i Kirke, Eneas i Dydona, Judyta i Holofernes, „Jerozolima Wyzwolona”, „Taras Bulha” Gogola, „Salammbo” Flaubert’a, „Uroda życia” Żeromskiego etc) — wypadek niespełnienia przez bohatera narzuconego mu przez los czy honor czynu naskutek przewrotnej (a często zupełnie niewinnej nieświadomej) interwencji kobiecej — co powoduje niezobliczalne, fatalne następstwa.

Nie będziemy tu zastanawiali się dłużej nad faktami, niewątpliwie zadającymi kłam „przyrodzonej słabości kobiecej” i niezdolności do uczestniczenia w tworzeniu dziejów, — to znaczy nad znanymi dobrze z historji wypadkami czynnej roli kobiet w momentach dziejowych (Joanna d’Arc, Aspazja, Agrippina, u nas Zofja Chrzanowska). Pomińmy też indywidualne wypadki wielkiego wpływu kobiety (w roli żony, matki, kochanki) na aktywnego w tworzeniu dziejów i kultury mężczyznę, legendarną Egerję, rzymskiego Numa Pompiljusza, matkę Grakchów, św. Helenę, św. Monikę, św. Blankę, Małgorzatę, żonę Henryka VI angielskiego, Marię Ludwikę, Marię Kazimiernę i wszystkie muzy, Beatrycze, Laury, Fornaryny etc, etc, wielkich artystów. W roli czynnej twórczyni dziejów historia prezentuje nam kobietę, gdy jest wyposażona we władzę, w środki oddziaływania na innych, — kobietę władczyń, — i rzecz znamienita, poza rzadkimi wyjątkami, jakby poza tylko istniejącymi, by potwierdzać regule — prawie wszystkie kobiety, samodzielnie rządzące i rozkazujące z tronu przechodzą do tradycji i historji z blanssem dodatnim; wymiśnmy legendarną Semiramidę asyryjską i Nikotris egipską, Clgę rosyjską i Wandę polską; — historyczne: królową Jadwigę i Małgorzatę duńską, Elżbietę i Wiktorję angielskie, Izabelę kastylską, Katarzynę II rosyjską.

Znamy w dziejach ludzkości i kultury epoki, naczochowane przemocnym znaczeniem kobiety i kobiecości, a więc średniowiecze, ściślej mówiąc wieki XII, XIII, XIV z kultem niewiasty i miłości, z wiarą w uszlachetniający, udoskonalający wpływ kobiety na mężczyznę i na oby-

czają, — potem epokę władztwa kobiety w buduarach i salnach XVIII wieku.. władztwa drogą intrygi i erotyki. Przedewszystkiem jednak uderza z silą wielką w dziejach ludzkości szereg faktów, szereg momentów o olbrzymim, epokowym znaczeniu, w których rola kobiety, jako przyczyny ostatecznej, bezpośredniej, rozstrzygającej — rola rzadko czynna, najczęściej nieświadomiana i bierna — nie ulega najmniejszej wątpliwości, — przeciwnie przekonawo niezbitcie, oszałamia, zdumiewa i przeraża przeświadczeniem, na jak kruchych — nieświadomianych, instyktownych często podstawach — buduje się nieraz historia narodów i cywilizacji.

Do tego rodzaju wypadków zaliczyć należy podawany przez pisarzy starożytnych, przez historyków nowszych wraz z innymi tradycjami o początkach państwa rzymskiego odrzucony — „fakt”, który miał bezpośrednio spowodować upadek królestwa w Rzymie i ogłoszenie Rzeczypospolitej (rzekomo w r. 510 przed Chr. 243 po założeniu Rzymu). Oto lud rzymski już dawno zamyslał zrzucić z tronu króla Tarkwinjusza Pysznego i wygnąć go wraz z całą rodziną poza granice małego naówczas państwa. Niewiadomo jednak, kiedy by ta rewolucja doszła do skutku, gdyby nie przypadek, który sprawił, że na jej czele stanął możny i wpływowy kręwny królewskiej rodziny. Tarkwinjusz Collatinus.

Cóż go rzuciło w objęcia wrogów monarchji i zadecydowało o obaleniu tej ostatniej?.. Oto powód natury zupełnie prywatnej, ale niezmiernie doniosły dla T. Collatina. W czasie jego nieobecności w Rzymie jeden z synów królewskich Sextus Tarkwinjusz usiłował shańbić żonę jego, Lukrecję — ta jednak, czując nadewszystko wierność małżeńską, a nie mogąc się obronić przed napastnikiem — zadała sobie śmierć pchnięciem noża. Złamany nieszczęściem, ale rozsądzany żądzą zemsty — Collatinus poprzysiął ją wszystkim Tarkwinjuszom i póty nie spoczął, aż przyczynił się do zupełnej klęski rodu królewskiego i zniesienia władzy monarchicznej. Wprawdzie niebawem przywódcy stronnictwa republikańskiego samego Collatina, jako spokrewnionego z rodziną królewską, pozbawili godności konsula; skazali na wygnanie — tem niemniej w świetle tego rozpowszechnionego podania żądza Sextusa Tarkwinjusza i pragnienie zemsty Collatina przyspieszyły upadek monarchji, jeżeli go nie spowodowały.

Na tegoż mniej więcej rodzaju podstawach należy oprzeć pochodzenie modnego słowa „wandalizm”, oddawna mającego już charakter utartego synonimu barbarzyństwa. W połowie V-go wieku po Chrystusie Placydja żona jednego z ostatnich cesarzy zachodniego imperjum rzymskiego Walentyniusza III, będącego już tylko cieniem cesarza — mszcząc się swej hańby i poniżenia męża — monarchy przywołała przeciwko swym wrogom króla germańskiego plemienia Wandalów, Genseryka. Wandalowie wtedy w tak straszliwy sposób spłądrowali Wieczne Miasto — Romę, że pamięć o ich barbarzyństwie utrwaliła się na wieki we wspomnianym wyżej, od ich imienia pochodzącym — wyrazie.

I jeden z najważniejszych faktów w dziejach Europy — fakt zdobycia Hiszpanji przez Arabów, — przedostania się islamu na ląd europejski przypisuje tradycja bierniej, ale decydującej roli kobiety. W końcu w VII-go państwo rządzących wtedy w Hiszpanji Wizygotów znajdowało się w stanie rozkładu. Tymczasem w Afryce Arabowie zagarnęli wszystkie posiadłości Gotów z wyjątkiem miasta Ceuty, którego bronił jeden z wielmożów, hrabia Julian Wielmoża ten miał piękną córkę, imieniem Florynda którą wysłał na dwór

królewski do Toledo celem nabycia oglądki, jaka przystoi dziewczycy z wysokiego rodu. W międzyczasie w Toledo na tronie zasiada król Roderyk z wrogię Juljanową partji, mający opinię uwodziciela. Istotnie Roderyk uwodzi Floryndę — wtedy Juljan który i bez tego należał do wrogów nowego króla — zapalał straszliwą żądzą zemsty, a czując się bezsilnym — decyduje się na krok o niesłychanem znaczeniu dziejowym: niepomny obowiązków wobec wiatry i ojczyzny, opętany nienawiścią do króla i żądzą zemsty otwiera bramy Ceuty Arabom, wzywa ich do zajęcia Hiszpanji, pomaga im przerzucić wojsko do Europy, nawołując wrogów Roderyka do łączenia się z wrogami Krzyża i toruje mużelnom drogę do serca kraju. Roderyk współwalczy przeciw Arabom, lecz w pamiętnej bitwie pod Xeres de la Frontera ponosi straszną klęskę i ginie (rok 711), najeźdźcy arabscy zalewają Hiszpanję, zagrażają Francji i reszcie chrześcijaństwa w Europie — i 7-miu wieków trzeba byłoby wyprzeć ich z półwyspu pirenejskiego i przywrócić chrześcijaństwu, to, co utraciło z powodu młodej dziewczyny — Floryndy.

Król francuski, Ludwik VII Młody z XV wieku niekoniecznie może być nazwany postacią dodatnią, szlachetną (spalił nawet kościół, pełen ludzi), — odznacza się jednak wielką czystością obyczajów, naskutek czego oddalił rozpustną swą żonę, Eleonorę, córkę potężnego księcia Akwitacji. Eleonora wychodzi przez drugą zamąż za Henryka Plantageneta, władcę małego hrabstwa Anjou, przynosząc mu w posagu olbrzymie połacie Francji od Loary po Pireneje. Niebawem Henryk zostaje królem angielskim, a zarazem księciem Normandji — i nic nie znaczący dotąd ród Plantagenetów staje się jednym z najpotężniejszych w Europie skupia w swym ręku większość ziem francuskich, o które toczyły z nim będą długie, wieki trwające walki — potomkowie Ludwika VII, królowie Francji z rodu Kapetyngów.

W czasach nowożytnych jeden z olbrzymich znaczeniu historycznym fakt, który saważył na dziejach i obliczu kulturalnym i religijnym nie tylko Europy, ale wielkiej części świata całego fakt oderwania się Anglii od kościoła katolickiego spowodował nie innego, jak miłość króla Henryka VIII do jednej z dam dworu, Anny Boleyn. Król Henryk był gorliwym katolikiem, gromił protestantyzm, pisał rozprawy teologiczne przeciw Lutrowi i jego nauce otrzymał od papieża tytuł „Obrońcy wiary katolickiej”. Gdy jednak zakochał się w Annie Boleyn a nie mógł od Stolicy Apostolskiej dostać rozwodu z pierwszą żoną — poszedł za głosem namiętności, zapomniał o swej gorliwości katolickiej, oderwał się sam i całą Anglię oderwał od katolicyzmu, rozpoczął długi okres prześladowania katolików w Anglii. Dlaczego?.. POCO?.. By móc wziąć rozwód z żoną, by zaślubić Annę Boleyn, którą zresztą niebawem posłał na szafot.

Znana jest historia Teresy Cabarrus markizy de Fontenay, pani Tallien, — pięknej, a niekoniecznie wzorowej po względem obyczajów kobiecie zawdzięcza Francja przewrót — dziejach rewolucji, zawdzięcza zwycięstwo w dniu 9 thermidora. Z rozkazu Robespierre’a Teresa aresztowana i miano stracić pod gilotyną: oszalała z miłości i rozpacz, kochający Teresę Tallien przystępuje do spisku przeciw Robespierre’owi i wiedziony jedną myślą: albo Robespierre upadnie, albo Teresa zginie — wygłasza na posiedzeniu konwentu potężną piorunującą mowę, która porwa zgromadzenie i decyduje o obaleniu Robespierre’a. Gdyby nie 9 thermidora — a więc w ogromnej mierze gdyby nie Teresa — niewiadomo, jakimby torami poszła historia Francji.

A więc upadek królestwa w Rzymie, spłądrowanie wiecznego miasta, krwawa półwiekowa wojna w państwie Franków, zdobycie Hiszpanji przez Arabów, niesłychany wzrost potęgi Plantagenetów, oderwanie się Anglii od Kościoła, upadek Robespierre’a (że pominie myśle innych mniej rzucających się w oczy — faktów dziejowych) — kto to wszystko sprawił? Kobieta — płeć słaba.. Słaba?!

TEODOR PARNICKI

Pamiętniki hr. Wilczka

Czytelnik zapyta się zapewne: Kto to był taki hrabia Hans Wilczek? Wódz — filozof — poeta — wynalazca — polityk? Nie był niczem z tego wszystkiego. Był dworakiem.

W pamiętnikach, które teraz, w dwaście lat po zgonie austriackiego magnata wydała córka, hrabina Kinsky-Wilczek, rysuje się postać autora jako przedstawiciela klasy wybrańców, która kpiła się około tronu Habsburgów, i epoki, a której przynależność do tej klasy dawała prawo do użycia i splendorów. Przegrywano i wygrywano wojny (ale przeważnie przegrywano), nabywano i tracono rozległe, ludne kraje, tłumiono rewolucje lub ulegano groźnym pomrukom ludu i zmieniano ustrój państwa, a hr. Wilczek kąpał się w promieniach łaski monarszej, dyrygował uroczystościami dworskimi, przyjmował koronowanych gości, polował, flirtował z wielkimi damami. Jedną psotę wyraziła mu fatalność — przeciw Solon już powiedział, że nikogo nie można uważać za szczęśliwego przed zgonem. Oto hrabia przeżył cesarstwo, musiał patrzeć na zmierzch bogów z Burgu i po tym końcu swego świata dreczył się jeszcze wspomnieniami przez lat parę. Obrócił je na pisanie pamiętników, przeznaczonych dla dzieci, wnuków i prawnuków. Przeciwny czytelnik znajdzie tu jedynie obraz życia, kóre bezpowrotnie minęło i psychikę, która należy do tego życia, a którą dziś niełatwo zrozumieć.

Ładny okres czasu pokrywają te pamiętniki! Nie tylko autor żył lat 85. W młodości swej znał ludzi, którzy pamiętali wojnę siedmioletnią, jeden z jego stryjów był ranny przy oblężeniu Belgradu w r. 1789, a ktoś, kto uczestniczył w bitwie pod Aspern, opowiadał młodemu hrabiemu, jaki to był wietrzny dzień. Wiatr ustawicznie roznosił zakrwawione kawałki papieru po polu. Szpitalom polowym zabrakło opatrunków i używano zamiast szarpi papieru z rodzinnego archiwum Traunów w Bockfließ...

Matka hrabiego chowała się od siódmego roku życia w klasztorze Wizytek w Wiedniu. Było tam kilka zakonnic, które patrzyły w Paryżu na padające pod gilotyńską głowę Ludwika XVI i Marii Antoniny. List nieszczęśliwej królowej, pisany w Temple przed samą straceniem i przywieziony do Austrii

przez jedną z siostrzyczek, stanowił pamiętkę, z którą hrabina nigdy się nie rozstawała.

Lecz Wilczka nie interesują wielkie przewroty historyczne, rewolucje i wojny. Co najwyżej wspomni o nich ubocznie. Dwór i życie arystokracji są dla niego całym światem.

Gdy miał lat cztery, zaprowadzono go na balik dziecienny, dawany w Burgu przez arcyksiężną Zofję. Ujrzał tam pięcioletnią wówczas Paulinę księżniczkę Metternich, przez długie lat dziesiątki później słynną ze złośliwego dowcipu i śmiałego języka. Cudowną miała sukienkę i ślicznie tańczyła. Mały hrabia brał już lekcje u sławnego Bretella, i wesoło zbliżył się do Paulinki i zaproponował jej turę, ale niedobre dziecko ofuknęło go: „Nie tańczę z małymi chłopakami“.

W późniejszych czasach nieraz tańczyli z sobą i zaprzyjaźnili się bardzo. Wilczek jednak nigdy nie mógł zapomnieć owej konfuzji i co pewien czas mówił o niej z księżniczką. Dopiero pisząc do niej list z życzeniami urodzinowymi, gdy doszła do osiemdziesiątki, uroczyście oświadczył, że zapomina o krzywdzie. Pomagał jej zawsze w zabawach, jakie urządzała na cele dobroczynne. Gdy córka Wilczka Elżbieta doniosła jej raz, że ojcu złał się ząb, usłyszała: „Nic nie szkodzi, że staruszek stracił ząb, nie będziemy go przez to mniej lubili. Inni mają takie śliczne uzębienie, a znieść ich nie możemy“.

Powiedziało się, że od hrabiego tylko czasem można dowiedzieć się czegoś o polityce. Oto znamienity ustęp na temat *ancien régime* austriackiego i reakcji metternichowskiej:

Gazety nie zajmowały się sensacjami, a o polityce rozmawiało się tylko w kółkach akademickich. Polityka była podejliwa i drażliwa, a cenzura, która czuwała i nad słowem pisanym i nad słowem żywym, bardzo surowa. A przeciw życiu w tych warunkach i rozkosze spokoju więcej warte były dla wieśniaków od zamętu burzliwej wolności.

Możnaby się sprzeczać ze starym dworakiem. Lecz szkoda czasu. Niewątpliwie jednak owe rozkosze pokoju były od wolności więcej warte dla ludzi, żyjących w cieniu Burgu. Pod tym względem nie może być dwóch zdań.

Hr. Wilczek był człowiekiem atletycznej budowy, niestychanej wytrzy-

małości i doskonałego apetytu. Znamięto piechur, szybkobiegacz i wioślarz, oddawał się jednak najchętniej polowaniu. Strzelał kozły alpejskie w Val Aosta z Emanuelem II, jelenie i niedźwiedzie z arcyksięciem Rudolmem, gemzy w Alpach, białe niedźwiedzie w okolicach podbiegunowych. Pewnego razu, wdrapawszy się na stromą skałę, w pogoni za ranną gemzą skoczył z dubeltówką na plecach — i spadł z wysokości 60 metrów prosto do Djabelskiego Jeziora. Trochę się potłukł i podrapał, coś tam złał, ale wyszedł z życiem.

Dzień w dzień przez lat kilkadziesiąt zjadał na śniadanie potężny bifsztyk i wypijał butelkę czerwonego wina. Ale to było w zwyczajnych warunkach. Podczas ucieczki po bitwie pod Königgrätz w r. 1866 — dostał odznaczenie za męstwo w tej kampanji — wygłodniał porządnie. Wreszcie nadeszła możliwość wypoczynku. Hrabia zasiadł przy stole, włożył utrudzone nogi do wanny i pochłonął jedenaście bifsztyków oraz niezliczone mnóstwo butelek piwa.

W r. 1908 cesarz Franciszek Józef obchodził sześćdziesięciolecie panowania. Wilczek był już po siedemdziesiątce. Lecz najwyższy rozkaz był dla niego świętością. Podjął się zorganizowania uroczystości. Przez Ringstrasse przewijał się godzinami „pochód ludów monarchji“ — 16 tysięcy ludzi, z tego 4000 konnych. Hrabia nie czuł się ani trochę zmęczony, chociaż wstał był przed świtem. Cesarz stał wyprostowany na palcem słońcu. Pod starymi jenerałami ugięły się nogi — lecz siadać niewolno, gdy stoi monarcha. Więc co chwila zniknął któryś w przyległym pokoju, aby spędzić rozkoszną chwilę na krześle.

Hrabia nie lubił wygod. Sypiał na tapczanie z desek lub na gołej ziemi, nakryty jednym kocem. Chciał być przyzwyczajony do trudów myśliwskich.

Jego zdrowie popsuło się dopiero, gdy dowodząc pociągiem sanitarnym w r. 1916, przeszedł czerwonkę.

Czasy jego dworskiej świetności zaczęły się bardzo wcześnie. Już w r. 1858 (a więc mając lat 21) dostąpił zaszczytu trzymania cesarskiego kapelusza z pióropuszem w Wielki Czwartek, podczas gdy monarcha zgodnie ze starym obyчаем mył nogi żebrakom.

To wspomnienie przywodzi inne — o

polskim arystokracie, który dostąpił był tego samego zaszczytu. Ceremonjal wymagał podziękowania cesarzowi. Polski magnat był jednak zbyt wzruszony. Stanawszy przed obliczem Franciszka Józefa, miał powiedzieć „Najjaśniejszy pan raczy przyjąć najniższe dzięki za użycie mnie z najwyższej woli do tej służby“, ale pomylił się i powiedział: „Najjaśniejszy pan raczy przyjąć najwyższe podziękowanie za użycie mnie z najniższej woli do tej służby“. Cesarz roześmiał się, młody szambelan zmieszał się jeszcze bardziej, trzeba go było długo uspakajać. Audjencja w cztery oczy trwała aż 5 minut. Cóż za niestychana łaskawość — mówiono na dworze. Lecz prawda rozeszła się wkrótce — i polski magnat stał się przedmiotem ogólnych kpin, jego życie było niemożliwe. Ale czegoż człowiek nie znieś w imię idei...

Gdy w r. 1867 Napoleon III. i Eugenia przybyli w odwiedziny do Franciszka Józefa, hr. Wilczek wyznaczony został na szambelana cesarzowej francuskiej. Rzecz działa się w Salzburgu. Eugenia przyszła ochota wspinąć się na 50-metrową skałę. Hrabia pomógł jej przytem i przeniósł ją na rękach przez głęboką kałużę na szczyt. Obaj cesarzowie rżnęli mu wymówki, lecz cesarzowa przy obiedzie zrobiła mu prezent z rękawiczek, które miała na rękach, a jedna z jej dam dworu objaśniła, że „jest to najwyższa uprzejmość i wyróżnienie, jakie wielka dama hiszpańska może zrobić ka walerowi, który usłużył jej tak odważnie“.

Pewnego dnia hrabia miał służbę w apartamentach Eugeni, która powiedziała mu, że oczekuje cesarzowej Elżbiety i że gdy ta nadejdzie, nie należy wpuszczać nikogo — bez żadnych wyjątków. Zjawił się — Napoleon. Hrabia chciał go powstrzymać, lecz cesarz oświadczył, że wejdzie. Przez pięć minut trwały targi. Ostatecznie cesarz wszedł, ale hrabia przed nim. Bawialnia była pusta, jadalnia pusta, weszli do sypialni i przez uchylone drzwi garderoby ujrzeli obie cesarzowe. Stały przed lustrem w negligi, odwrócone tyłem do Napoleona i Wilczka, i porównywały budowę swych kolan — najpiękniejszych dwóch par kolanek, jakie były w Europie w owym czasie — zdaniem hrabiego...

Ale czas skończyć sprawozdanie. Warto było zwrócić uwagę na pamiętniki Wilczka — jako na dokument historyczno-obyczajowy. A. E.

Sterowanie kwarcem fal radiowych

Jak wykorzystano odkrycie P. Curie sprzed 50 lat

Jak wiadomo, międzynarodowa konferencja w Lucernie miała na celu „zrobienie porządku w eterze“ w tym sensie, by wszystkie, zgorą dwieście stacji nadawczych radiowych, rozsianych po całej Europie, mogły swobodnie pracować, nie wchodząc sobie wzajemnie w drogę.

Praktycznie przedstawia się to w ten sposób, że każda stacja nadawcza pracuje na pewnej, jaknajściślej określonej długości fali, której odpowiada — również ściśle określona — częstotliwość. Ze względów technicznych jednak przyznać musiano każdej stacji pewnego rodzaju „limit“, tj. prawo stosowania częstotliwości nieco wyższej lub niższej od zasadniczej. Limit ten jednak (czyli dopuszczalna najwyższa rozpiętość) nie może w żadnym razie przekraczać dziewięciu kilocykli, czyli 9000 drgnień na sekundę.

Dodać trzeba, że stacje nadawcze z „limitu“ tego robią stale wydajny użytek, zwłaszcza o ile idzie o nadawanie tonów ostrych, wysokich.

Niestety, ładnie to wszystko wygląda w teorii. Codzienna praktyka jednak poucza, że pod działaniem czynników czyto elektrycznych czy mechanicznych, (wtrząsów, zmian temperatury itp.), częstotliwość automatycznie ulega zmianie. A następstwem tego jest, iż dana stacja poprostu „włazi“ na drugą, o zbliżonej długości fali — i obie sobie wzajemnie przeszkadzają. Cierpi na tem oczywiście... radjostuchacz, który napróżno męczy się i porusza usunąć w odbiorniku ten defekt,

którego źródło tkwi zupełnie gdzie indziej.

Aby temu zapobiec, musi się przede wszystkim cały nacisk położyć na to, by frekwencja (częstotliwość fali) stacji nadawczej została jaknajściślej ustabilizowana i nie podlegała żadnym wahaniom.

Nad rozwiązaniem tego ważnego problemu łamali sobie oddawna głowę najcześni technicy, jednak rezultaty osiągnięte przez nich pozostawiały jeszcze dużo do życzenia.

Aż wreszcie przypomnieli sobie o pewnym odkryciu, zrobionem przez Piotra Curie... jeszcze w roku 1881: Odkrycie to, w gruncie rzeczy drobne, uważano przez długie lata jako zwykły eksperyment laboratoryjny, nie mogący mieć żadnej praktycznej wartości.

Idzie tu mianowicie o pewien fenomen, nazwany przez odkrywcę „piezoelektrycznością“, a polegający na tem, że pewne kryształy — w szczególności kwarc — polaryzują elektrycznie pod wpływem bodźców mechanicznych. — Zjawisko to występuje znacznie silniej, jeżeli z kryształka kwarcu wytniemy cienką płytkę w kierunku równoległym do tzw. osi optycznej kryształka.

Płytką taką, umieszczoną między dwiema blaszkami metalu, pod wpływem nacisku, ładuje się elektrycznie, włączona zaś w obwód stacji nadawczej spełnia rolę oscylatora, który może być wprawiony w drganie tylko przy pewnej, ściśle określonej częstotliwości.

Jak wykazały doświadczenia, płytka kwarcu, o powierzchni 1 cm. kw., a

o grubości dwóch milimetrów, posiada częstotliwość 1500 kilocykli, czyli odpowiada oscylatorowi o długości fali 200 metrów.

Odkrycie to pozwoliło technikom skonstruować specjalne urządzenia, pozwalające na jaknajściślej kontrolę i regulowanie częstotliwości stacji nadawczej. Zasadniczo urządzenie to zasadza się na tem, że w obwód oscylatora włączony jest kryształek kwarcu, wycięty w ten sposób, aby posiadał identyczną częstotliwość. Prąd ten przychodzi następnie przez amplifikator, skąd jako prąd o wysokiej już częstotliwości zostaje wysyłany do anteny.

Nie wdając się w szczegóły, techniczny opis tego urządzenia, zaznaczamy, że dzięki niemu osiągnąć można prawie absolutną i zupełną stabilizację fali.

Płytką kwarcu, odpowiednio wyciętą i zamontowaną, nieczuła jest na żadne wstrząśnienia lub działania mechaniczne. Jedynie zmiany temperatury wywierają pewien, nieznaczny co prawda, wpływ na jej częstotliwość. Można jednak i temu z łatwością zapobiec, umieszczając płytkę w termostacie, w którym utrzymywana jest niezmiennie jednaka, stała temperatura.

Jak wykazały doświadczenia, przy fali długości 300 metrów (co odpowiada częstotliwości 1000 kilocykli) różnica temperatury o jeden stopień powoduje zmianę częstotliwości płytki kwarcowej, nastrojonej na tę długość fali, o 0.2 kilocykli. A zatem przy różnicy temperatury o dziesięć stopni zmiana ta wyrażałaby się cyfrą 2—3 kilocykli, co już jest rzeczą niedopuszczalną.

Niestety, całe tego rodzaju urządze-

nie jest dotychczas rzeczą bardzo kosztowną: częstotliwość płytki kwarcowej zależy od jej wymiaru, grubości, kształtu itp., co pociąga za sobą ogromniestychanie precyzyjnej i starannej pracy. Dla ilustracji podajemy, że każda wycięta płytkę bada się sposobem optycznym, przez interferencję z dokładnością dochodzącą do jednej dziesięciotysięcznej milimetra!

Jedną z najświeższych zdobyczy na tem polu, są urządzenia tego rodzaju, iż normalne cewki odbiornikowe umieszcza się poprostu we wnętrzu odpowiednio wydrążonego kryształu kwarcu.

Dodać jeszcze trzeba, że obok kwarcu również i niektóre inne kryształy posiadają podobne właściwości. W szczególności wchodzi tu w rachubę turmalin, z którego również produkuje się podobne płytki.

Płytki kwarcowe znajdują pomału zastosowanie i na innych polach: w Ameryce fabrykuje się już głośniki, sterowane kwarcem, pozatem oddaje on duże usługi przy przesyłaniu sygnałów i przenoszeniu dźwięków w głębi morza.

Jak się dowiadujemy, nowa stacja poznańska sterowana będzie dwoma kryształkami kwarcu.

Miejmy nadzieję, że już w niedługim czasie fabrykacja tego rodzaju urządzeń przybierze większe rozmiary, a w ślad za tem ceny ich odpowiednio spadną. Wówczas wszystkie stacje nadawcze, wyposażone w płytki kwarcowe, będą mogły pracować swobodnie, a fale, sterowane kwarcem, nie będą mogły przekraczać wyznaczonych im częstotliwości, ku niemałej radości radjostuchaczy całego świata.

Lucy

